MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, I piętro; tel. 215-11. Godziny przyjęć co dziennie od 4–6 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5; tel. 25-53.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok III. Warszawa, 14 Kwietnia 1923 r. Nr. 15.



Cena numeru 700 mk.

DOSTĘP DO MORZA CZY KAWERNA POLSKI?

I.

Decyzja „najjaśniejszej" Rady Ambasadorów przyznająca trzechmilionowemu państwu Lituwasów port bałtycki Kłajpedę, wyrok bardzo Salomonowy niespodziewany i dziwaczny narzuca nam z całą siłą i wyrazistością kwestję naszego dostępu do morza, naszego portu, naszego kontaktu ze szerokim światem naszego wyjścia na oceany.

Wszyscy chyba już doszliśmy do przekonania, że nasz passywizm w tym kierunku dalej iść nie może, że stosunek nasz do morza pozostał nadal nijaki i nikły, że po czterech latach posiadania skrawka brzegu morskiego nadal jesteśmy narodem o psychice i polityce szczurów lądowych, wreszcie, że i z tym Gdańskiem trzeba będzie raz dojść do jakiegoś ładu, inaczej normując dalsze spółżycie.

Od tego ostatniego punktu (punctum saliens) musi się zacząć zmiana, początek przetworzenia nas z narodu skroś przyziemnego, bezkolonialnego i zaściankowego, parafialnego i żywcem wzajem zagryzającego się w dusznym obrębie swej nawet wielkiej państwowej klatki w naród o światopoglądzie szerszym, mniej przyziemnym, ogólno ludzkim, globowym, conieco marynarskim i gospodarczo wszechświatowym.

Trzeba to sobie dziś powiedzieć głośno, że tak dalej nasz collage z Gdańskiem trwać nie może. Zawiedliśmy się na nich fatalnie, cierpliwość nasza, ustępliwość i tolerancja wyczerpane są doszczętnie. To co miało być naszem oknem na oceany, naszym pomostem na szeroki świat, to stało się po trzech, czterech latach właśnie ryglem zamykającym nam szczelnie korytarz do morza, barjerą odgradzającą nas od kontaktu z zamorskim światem a równocześnie naszą ropiącą raną, naszą słabizną (łapare greckie), naszą piętą Archillesa, tem fatalnem miejscem w organizmie państwowym Polski, przez który przecieka żywa krew na zewnątrz. Ten stan nie do zniesienia wreszcie skończyć się musi, a jak się skończy, to będzie już zależało od sterników naszej polityki względnie od tego czy może czynniki odpowiedzialne w tem mieście przyjdą wreszcie do opamiętania.

W kwestji Gdańskiej traktat Wersalski nas ciężko skrzywdził. Odnośne paragrafy 100 — 108 redagowane zostały pod wpływami i pressją tych angielskich anglo-saskich dyktujących suflerów, którzy dziś już odsunięci od władzy grają tylko rolę i mają znaczenie obezwładnionej opozycji. Lloyd George i jego ludzie są już w cieniu, ale tym gorzkim owocem ich presji i ich kalekiej gienialności dyplomatycznej my się karmić musimy nadal. Stwarzając sztuczny twór na papierowej tylko mapie niby logicznie wyglądający, stwarzając fikcyjnie niezależne wolne miasto o dwa hinterlandy t. j. wschodnio-pruski i polski oparte, nie przeczuwało grono wersalskich krawców i przykrajaczy, że Freistadt Danzig przetłomaczy to sobie na Free-State, na Freistaat, że uniezależnione cokolwiek stanie się właśnie ogniskiem odwetowego pangermanizmu (jednem z głównych), że wprost chore na galopującą megalomanję będzie coraz zuchwalej i oporniej stawiało się państwu suwerennemu, które jego niezależności tytularnej jest głównym obrońcą i gwarantem. Twórcy traktatu wersalskiego stanowczo więcej wierzyć musieli w siły magnetyczne, assymilacyjne, w gospodarczą i ekonomiczną tężyznę, w prestige i majestat państwa polskiego oraz błędną chyba musieli mieć opinję o „poczuciu rzeczywistości" w obywatelstwie gdańskim; twórcy traktatu zapewne byli przekonani, że w dwa, w trzy lata państwo 28 miljonowe da sobie szybko bez hałasu radę z enclawem gdańskiem, a właśnie życie nowoczesne gospodarcze zespoli ze sobą szybko tysiącznymi węzłami taką minimalną mniejszość z tak mocarstwowo zapowiadającem się państwem. Nadto zapewne twórcy tych paragrafów 100—108 traktatu wersalskiego byli przekonani, że ekspanzywna ener-

gja polskiego społeczeństwa z taką siłą i rozmachem rzuci się i skieruje w stronę brzegu morskiego iż nawet, jeśli napotka tam jakieś szowinistyczne przeszkody i kontrakcję ze strony nalotu pruskiego w Gdańsku, szybko upora się z tymi przeszkodami w imię historycznych, z pomocą węzłów tradycyjnych i realnych interesów gospodarczych. Nie można sobie bowiem inaczej wytłomaczyć „rozumu stanu“ wersalskich peacemakerów przy stwarzaniu takiego paradoksalnego Monaco nadmorskiego jak tylko chyba nadzieją, że tu się rzecz sama szybko u oży, a życie realne skorryguje papierowe koncepcje pod sugestją anonimowego międzymocarstwa w traktacie uwiecznione.

Tymczasem stało się inaczej. Polska pod tym względem zawiodła. Energja jej ekspanzji skierowana była przez pierwsze cztery lata wyłącznie ku Wschodowi, ku Dzikim Polom, ku Kijowowi potem ku Wilnu; Pomorze, dostęp do morza, ukształtowanie stosunku do Gdańska, kwestję portu polskiego, żeglugi morskiej, marynarki wojennej i handlowej traktowano całkiem po macoszemu, obojętnie, bagatelnie. Naczelnik państwa choć socjalista z fachu i wieloletniego procederu, ale umysłowość nie nowoczesna, romantyczna, bez żadnego zmysłu i wykształcenia ekomicznego tak on sam i jego ludzie nie pojmowali nigdy doniosłości kontaktu Polski z morzami i konieczności, żelaznego musu posiadania własnego portu przez państwo 27 milionów liczące. Dla tej całej koterji zaściankowych radykałów już domaganie się własnego portu i brzegu morskiego to była jedna z tych endeckich pretensyj, drażniących tylko niepotrzebnie Niemcy i sztucznie rozdmuchiwanych. I ten pogląd z góry od samych szczytów narzucany rozszerzył się też na wszystkie kolejno rządy, gabinety, na Sejm i społeczeństwo, które zamiast coraz intenzywniej zajmować się niedostępnym dostępem do morza, coraz to chłodniej i neutralniej traktowało ten problem rozstrzygający o gospodarczej niezależności zatem i o państwowej czy mocarstwowej roli Polski. Temu też należy przypisać tę kompletną obojętność z jaką właściwie przyjmowała opinja wszystkie kolejno dokumenty złej woli, agresywności, zuchwalstwa i megalomanji gdańskiej, obojętność z jaką opinją przyjmowała kurczący się stan posiadania, prestiżu i suwerenności naszej w Gdańsku, dalej obojętność, z jaką opinją przyjęła dalsze konsekwencje krzywdzącego nas na tym punkcie traktatu wersalskiego to jest skandaliczną konwencję paryską Listopadową, dalej fatalną (wedle prof. St. Kutrzeby) umowę Październikową Warszawską z jej paragrafami ryczałtowo i na naszą niekorzyść regulującymi dalsze nasze z Gdańskiem, wysysającym nas, współżycie. Zdaje się jednakże że ta obojętność opinji i to lekceważenie traktowanie tego problemu naszej polityki (równocześnie i zagranicznej i wewnętrznej) już się kończą i ustępują mie sca przed aktywnem i zasadniczem wzięciem się do jego rozplątania lub choćby nawet przecięcia tak jak się zbyt zagmatwane węzły gosdyjskie przecina.

Tak dalej bowiem być nie może. Drugie cztery lata

utrzymywać, żywić. tuczyć i rozpieszczać koncesjami przygarniętego pupila, który nas za to podgryza, wyszydza, podkopuje, kopie, traktuje nie jak dobrotliwego, pełnego wyrozumiałości opiekuna. ale jak „lekkomyślnego ojca", a raczej sezonowego ojczyma nie możemy pod żadnym pozorem. Po czterech latach tego zjednywania, głaszczenia, każolowania, futrowania karmelkami ustępstw i przywilejów okazało się już jasno i dobitnie, że tego języka (speak softly) Gdańsk nie uznaje o ile nie poparty jest tem, co oprócz tego radzi angielskie przysłowie „*and cary a big stick*" tz.: „mówić łagodnie, ale trzymać mocny kij w ręku". Im więcej ulg, ustępstw, przywilejów i cackań, tem wyżej w Gdańsku podnosi łby stugłowa hydra hakaty, w Rzeszy niemieckiej coraz chudsza i potulniejsza, a tu nad Bałtykiem, Wisłą, Motławą i Radunią coraz to bezczelniejsza i jadowitsza. Im więcej my respektujemy paragrafy traktatu wersalskiego oraz konwencji paryskiej i warszawskiej, tem przewrotniej i dowolniej i kazuistyczniej interpretuje te paragrafy wyzyskując ich stylistykę maffia pruska w tym mieście na indygenach rozrosła i rozsiadła. Nietylko niema mowy o żadnej naszej serjo penetracji pokojowej ekonomicznej i finansowej, ale na tym terenie (jak dziś rzeczy stoją) my się cofamy, ustępujemy, likwidujemy bo w tych warunkach i w tej koniunkturze wymarzonej każde zatrzymywanie się nawet, każdy status quo ante 1920, każda pauza czy przerwa w rozroście jest już temsamem cofaniem się i kapitulacją. Tymczasem zaś to nietylko zastój i przerwa, ale wyraźna dezercja.

Z miesiąca na miesiąc daliśmy sobie kolejno wszystko narzucać i wszystko odbierać, a apetyt suwereński Gdańska, wzrastał w miarę konsumpcji... zboża, drzewa. ziemniaków, surowców..., marek polskich i towarów, masowo szmuglowanych zagranicę przez tą fatalną lukę w granicy polskiej przez ten dziurawy worek, przez tą „ziemię obiecaną" El Dora do wszystkich paskarzy, kontrabandzistów, spekulantów, szyberów, defraudantów, fałszerzy i fabrykantów paszportów, marek, dolarów... jakim właściwie się stał Gdańsk ten wedle traktatu „libre et sure..." wolny i pewny (!!) dostęp Polski do morza. Za każdym naszym ustępstwem czy przywilejem wzmagała się jeno buta i rosły rogi Senatowi Gdańskiemu, temu skroś orgeszowatemu Aeropagowi, coraz bardziej wyzywająco zachowującemu się wobec Polski napychającej kieszenie gdańskiemu przemysłowi i handlowi, dającej pośrednio pracę i zarobki 40 000 robotników gdańskich. Czarną i złośliwą niewdzięcznością odpłacało nam sprusaczonego miasto za amerykańską mąkę w latach głodu, za ulgi przy wizach paszportowych na wyjazdy do Niemiec, za ten masowy wywóz artykułów żywności z Polski (bywało mąka jako otręby), za to przymykanie oczu i tolerowanie najpotworniejszych bezeceństw i malwersacyj i nadużyć celnych (afera dr. Kraffta), za przejęcie całego deficytu kolejowego, za tz. listy kontygentowe z ulgami dla sprowadzenia na własne potrzeby (?)

„zagranicznych" towarów niemieckich (szmugiel do Polski), za to wogóle przy naszej pomocy wyrównanie sobie bilansu handlowego i budżet ostatecznie bez deficytu... za ten ogólny wzrost dobrobytu ludności i przemianę prowincjonalnego, zamierającego, nadmorskiego jakby „Brugge la Morte" na bądź co bądź kwitnące, ruchliwe, ożywione, przez cudzoziemców i cudzoziemskie floty odwiedzane miasto. Czarną niewdzięcznością i nieustającą, systematyczną, zajadłą wojną podjazdową, wojną prowadzoną z sukursem najg rszych elementów naszego i rosyjskiego żydostwa, wojną drobną, szpilkową, ale nieustającą, przy wciągnięciu do aljansu i wygrywaniu przeciw nam wszechmocnej Anglji, wojną dokuczliwych szykan, sekatur represji, ograniczań i uszczuplań polskości w Gdańsku przy wyzyskiwaniu głównie poparcia i patronatu Ligi Narodów.

Ale my już tej chronicznej ersatz wojny z hakatycznym Gdańskiem, wojny ekonomicznej i politycznej, mamy chyba dosyć. To życie Gdańska z Polski, a służba Borussji, ta eksploatacja Hinterlandu a wierność dla szerokiego Vaterlandu, to traktowanie Polaków za „lästige Ausländer" i minderwärtige Nation" raz wreszcie skończyć się musi. To condominium z Ligą Narodów i ze Senacką Hakatą niema dłużej przeciągane żadnego sensu i doprowadziło już do absurdalnego stanu naigrywania się wprost z Polski przez państewko—karła, państewko dom. gry, free-state Liliputanów.

Ostatnie noty i enunciacje p. Komisarza Plucińskiego, tak równoważonego i ustępliwego wobec Niemców dotychczas dyplomaty, wskazywałyby, że rząd nasz wreszczie, wreszcie zdobył się i zdecydował na kurs polityczny nieco ostrzejszy i energiczniejszy. Nareszcie! Należało to zrobić coprawda akurat dwa lata temu. Nie przewidywano niestety, że zuchwała pewność siebie i buta prusaków w Gdańsku prym i ster dzierżących dojdzie do takich jak w ostatnich czasach rekordów. W każdym razie jednak lepiej późno jak jeszcze później.

W stosunku do Gdańska mogą zachodzić tylko dwie ewentualności. Albo my staniemy mocną stopą tam oparci moralnie na wielowiekowych tradycjach, a materjalnie na bezwzględnej solidarności interesów naszych i Gdańskich, a wtedy i Pomorze i tak zwany kurytarz jest ubezpieczony na wieki. Albo za lat dziesięć najdalej tracimy i całe Pomorze i kurytarz, a niemczyzna z obu stron przerwawszy groblę pomorską zaleje nas znowu. Tertium non datur.

Gdańsk pozostawiony do Polski w takim stosunku jak teraz, kiedy z traktatowych paragrafów wersalskich w praktyce pozostały już strzępy, jest koniem Trojańskim, jest kosztownym luksusem, jest Benjaminkiem niczem na fawory ojczyma sobie nie zasługującym, jest wielką drzazgą wbitą w bok Polski i fatalne ropienie z tej strony wywołującą.

Ten stan trwać dłużej nie może. Cierpliwość Hioba polskiego, leżącego na mierzwie deficytu budżetowego, z którego szydzi jeszcze filja pupiela Gdańska tak hojnie uposażona

i podkarmiana, jest już na wyczerpaniu. Pochwały lorda Curzona of Kedleston dla naszej wstrzemięźliwości i umiarkowania niepowinny nas zbyt usypiać i bałamucić, lecz właśnie powinny nam przypomnieć, coby to uczyniła mądra Anglja, coby dyktował angielski rozum stanu gdyby się znalazł i gdy się znajdywał w podobnej sytuacji (Kopenhaga, Transwaal, Egipt, Gibraltar). Wyczerpać przedtem musimy oczywiście wszystkie legalne, pokojowe, zgodne metody i środki, aby wolne miasto pozujące i bawiące się w wolne państwo doprowadzić do opamiętania i do rozumu. Gdy te atoli zawiodą tak jak dotychczas wszystkie zawodziły, wtedy do Gdańska musimy przemówić tym językiem, który tam teraz cieszy taką popularnością tj. po angielsku, trzymając w ręce „in manu militari"... „big stick". Historja Anglji królowej mórz niech nas pouczy w tym wypadku jak się „dokonuje faktów" ważnych i o bycie państwa rozstrzygujących. (D. c. n.)

Adolf Nowaczyński.

TRAGEDJA DUSZY POLSKIEJ.

Dzienniki zanotowały, że w pałacu arcybiskupa na górze Sobieskiego we Lwowie zmarł niezwykle zasłużony kapłan-obywatel ks. Bilczewski, niezbyt podeszły w latach. Nazwano i chorobę: „lenkomia", która dla nielekarza jest anemią, wycieńczeniem, wyczerpaniem. W mniej lub więcej udatny sposób złożono hołd pamięci wielkiego człowieka; tu i ówdzie próbowano przedstawić sylwetkę psychologiczną czy obywatelską zasłużonego męża; zaznaczono nawet tragedję Ziemi Czerwińskiej, wspólną dla wszystkich mieszkańców.

Ale nie zwrócono uwagi na straszną tragedję, jako się odbyła w duszy nieboszczyka, tragedję, która bez wątpliwości spowodowała owo wycieńczenie i przyspieszyła śmierć.

Śp. Arcybiskup Bilczewski poświęcił całe swoje życie wielkiej idei uratowania dwóch miljonów wiernych Katolicyzmu i dla narodu polskiego. Tej idei poświęcił wszystko. Mając obfite dochody, żył jak pustelnik, bo dochody przeznaczał na cele religijne i narodowe. Mąż uczony oderwał się od ulubionych nauk, a cały swój czas i całą zdolność obrócił na zarząd, na codzienne troski o stwarzanie, umacnianie, uposażanie placówek. Zaparł się samego siebie, swoich upodobań, wygód i jakichkolwiek celów osobistych, aby służyć sprawie.

I dzieło, poczęte dla wyższych celów rosło, rozwijało się bujnie i wszechstronie, ku wielkiej radości twórcy, zachęcając go do jeszcze usilniejszej pracy, do jeszcze większych wysiłków, do jeszcze większych poświęceń. W przeciągu lat 13 stanęło z górą 300 nowych kościołów i kaplic, udotowano prawie setkę nowych parafij jako twierdz polszczyzny i rzymskiej, zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji. To były twierdze materjalne.

Ale śp. ks. Bilczewski budował równocześnie i twierdze duchowe. Tylko pracownicy realni zrozumieją doniosłość

sprzęgnięcia duchowieństwa z inteligencją świecką dla wspólnej pracy. Tego cudu dokazał śp. Arcybiskup. Zniknęły uprzedzenia i podejrzliwości stanowe, a święty zapał do pracy, wspólnej, narodowej i cywilizacyjnej ogarnął wszystkich. Tysiące czytelń polskich, kółek i kas, setki Sosołów, burs, ochronek, stowarzyszeń gospodarskich (bartnictwo, koszykarstwo, wyroby z szuwaru, sadownictwo itd) objęło siecią narodowej pracy cały kraj. Wszyscy poczuli się obywatelami i pionierami polszczyzny, opartej na rzymskiej, chrześcijańskiej cywilizacji. I pracowali wszyscy i ofiary składali wszyscy.

Wytworzyła się taka jedność narodowa, że nie odróżniano stanów i zawodów: byli tylko Polacy, pracujący dla uratowania polszczyzny. Obudzili ją i utwierdzili na długo, zdawało się na zawsze. Chłop, ksiądz, obszarnik, inteligent spoili się takim węzłem jedności narodowej, że nie zerwała go ani wielka wojna, ani najazdy, ani dzikie prześladowania ukraińskie. Spoiste społeczeństwo polskie przetrwało po bohatersku. Wszystko było „dla Polski".

Wojna porobiła wielkie szczerby. Zrujnowano lub zniszczono setki kościołów, plebanij i szkół, pokiereszowano budynki sokole, bursackie, ochronkowe, przerzedzono liczbę pracowników świeckich i duchownych. Seminarjum duchowne spustoszało.

Ale zbliżała się Polska. Resztki pracowników świeckich i duchownych czekały na nią z utęsknieniem i modlitwą, pewne, że ta zbożna praca pod ochroną własnego państwa wzmoże ścię wielokrotnie. Czekał na nią Arcypasterz, z godnością noszący swą godność biskupa—Polaka pod najazdem rosyjskim, austryjackim, ukrańskim. Nie wszystkim wiadomo, że denuncyanci oskarżyli Nieboszczyka przed wracającymi Austryjakami o nielojalne zachowanie się podczas najazdu rosyjskiego i że jenerał Lettowsky poddał go pod nadzór policyjny i postawił wniosek na aresztowanie lub przynajmiej wywiezienie go do Wiednia. Jeszcze mniej wiadomo, że Nieboszczyk naraził się na niełaskę dworu austryjackiego, ujmując się odważnie wobec samego cesarza za niewinnie aresztowanymi i wieszanymi Polakami i Rusinami. Stary cesarz aż się rozchorował po tej audyencji. Postępując po austryjacku, ofiarowano Arcybiskupowi jedno z najważniejszych odznaczeń, bo wielką wstęgę orderu Leopolda, żeby go odwieźć od zbyt natarczywych upominań się o swoje i ruskie owieczki w imię religji i ludzkości. Sp. ks. Bilczewski. podejrzany politycznie, znalazł w sobie odwagę: którą ocenić potrafi ten, kto w Austrji przeżył ten czas kryminałów i szubienic (powieszono 60,000 ludzi w Galicji) i to odznaczenie, które miało asekurować jego osobę przed policją — odrzucił.

Pracował i gotów był cierpieć dla kościoła i dla Polski.

I przyszła wreszcie ta wymarzona, wymodlona, krwią najdzielniejszych i łzami miljonów okupiona Polska.

Ale okazało się, ta że Polska niema żadnego zrozumienia dla tych, którzy ją w trudzie żywota wypracowywali. Do rzą-

dów dorwali się ci co Polskę uważają za plantacje do eksploatacji, za żerowisko, za sposobność do robienia bajecznych karjer.

Mało co, prawie nic nie zrobiono dla odrestaurowania zniszczonych kościołów i plebanij, robiono conieco dla odbudowy szkół bez różnicy narodowości, wyłącznie Sokolnie od możności pomocy państwowej.

Przez doktrynerską zaciekłość, która się pieni na widok sutanny, nie zajęto się pomnożeniem liczby księży, choć byli pionierami Polski. Seminarium duchowne pozostało pustem, bo alumnom zabrakło jadła. Setki kościołów, zburzonych i całych, pozostały bez kapłana i zwycięzka ruszczyzna wtargnęła z powrotem na miejsce polskości. Czytelni nikt nie wskrzesił. Młoda Polska likwidowała murowane twierdze polszczyzny wskutek idjosynkrazji do duchowieństwa i kościoła katolickiego.

Wielki budowniczy życia narodowego i religijnego patrzył bezradnie i bezsilnie na rozmyślne rujnowanie ogromnego dorobku materjalnego. I to była najstraszniejsza tragedja.

Ale przyszła i tragedja rozmyślnej ruiny moralnej. Popierani i opłacani przez lewicowy rząd agitatorzy rozszczepili społeczeństwo polskie, oddzielili duchowieństwo od inteligencji świeckiej, a między wszelką intelligencję i lud rzucili pochodnię wściekłej, zażartej, na kłamstwie i oszczerstwie opartej walki.

Moralna twierdza polszczyzny, zbudowana w duszach polskich, runęła. Wszystko zniszczono, zrujnowano, obalono. Żaden wróg, żaden najazd nie wyrządził tam polskości takich szkód, jak tego dokonały polskie rządy. Ruina moralna i materjalna — oto obraz tej ziemi nieszczęśliwej. A ruiny tej nie spowodowały żadne kataklizmy zewnętrzne, tylko planowa robota Polaków i Polski.

Przeżywszy sześćdziesiątkę, wielki ten pasterz ludu zobaczył dorobek całego swojego życia, owoc wysiłku natężonego dwóch miljonów ludzi w gruzach, a organa państwa, na którego intencyę wznoszono te budowle, rzucały w pył i w proch resztki, ocalone przed zniszczeniem:

Lasciate ogni speranza!

Niedobitki tej wielkiej pracy załamały ręce i popadły w rozpacz. Beznadziejność wysiłku odebrała im siły i chęć do jakiejkolwiek pracy, bo bezcelowa. I teraz odczuli dopiero, że są utrudzeni. To też chętnie przenosili się w inne strony, do Wielkopolski, na Pomorze, gdziekolwiek bądź, byle jak najdalej od tych zgliszczy i ruin. Nie o ślady pożarów i wojen chodziło, ale o to spustoszenie ducha. Spalenisko można dwa razy świetniej odbudować, gdy jest wola i praca. Ale tutaj za pracę ścigano. Ani jeden ze zasłużonych pracowników na niwie narodowej nie wypłynął na wierzch. Przeciwnie banitami zostali, prześladowanymi, pomijanymi, w kąt wypieranymi za to tylko, że dla Polski pracowali, cierpieli, poświęcali się. Lewicowe rzędy ścigały zapomnieniem, potępieniem, banicyą: to, że ktoś dla Polski pracował, było plamą bardziej dyskwalifikującą, niż kradzież, oszustwo, rabunek, wy-

sługiwanie się wrogom za pieniądze. Wszystkie występki, najbardziej hańbiące, mogły pod rządami lewicowej piłsudczyzny liczyć na przebaczenie i zapomnienie, oprócz jednej zbrodni: to jest bezinteresownej pracy i zasługi dla Polski.

Nie dziw, że pracownicy uciekali z tej ziemi, którą użyźnili potem ofiarnym, myślą narodową i pracą.

On nie uciekał. Pozostał na gruzach tak jak pozostał na stanowisku podczas wszystkich najazdów. Ale widząc dookoła pustkę, nie odnalazł już radości życia, radości ze Zmartwychwstania ani wesela pracy. I on także odczuł dopiero teraz, kiedy mu w ruinach przyszło czekać na śmierć wybawicielkę, że był utrudzony bardzo. Ta lewicowa Polska, przeprowadzająca wojnę domową jako jedyny program, nie mogła dać owego czarnoksięskiego zaklęcia, które budzi siły i omdlałym przywraca moc To nie są budowniczowie przyszłości, to kruki, żerujące na padlinie.

Nieskazitelne serce śp. Bilczewskiego, brzydzące się brudem, nie dopuściło rozpaczy do duszy, bo go przed nią uchroniła gorąca wiara w Opatrzność Bożą. Ale słabł i gasnął w smutku, w bólu takiego zmartwychwstania i zasnął na wieki na ruinach własnej pracy, na popiele wszystkich narodowych wierzeń i uniesień, na mogile, w której lewicowa Polska chciała pogrzebać polskość ale nie pogrzebała!!...

Jan Zamorski.

WOJCIECH KORFANTY W ŚWIETLE PRASY ZAGRANICZNEJ.

(Podajemy te głosy prasy bez innych komentarzy jak tylko ten, że wszystkie głosy ujemne i nieżyczliwe p. Korfantemu zamieszczały pisma stale i systematycznie przez 4 lata zwalczające też Polskę i Polaków).

Rok 1921.

Francesco Nitti w „Il Paese“ 20 Sierpnia 1921 r.

„Nie wiedząc, w jaki sposób eksploatować swoje kopalnie z dodatnim rezultatem, Polska sięga po Górny Śląsk, który należy się absolutnie niemcom i stanowi ich najniezbędniejszy punkt oparcia z powodu wielkich ilości i pokładów węgla miedzi i ołowiu. Co stałoby się z Górnym Śląskiem, gdyby dostali przypadkiem go Polacy? Oto ten bogaty kawał ziemi w centrum Europy stałby się wkrótce ruiną i krajem biedy i nędzy. *Przygody a la Korfanty*, pod osłoną karabinów, mogą wywoływać terror i gwałt, ale nigdy nie wprowadzą w ruch szybów, ani maszyn fabrycznych.

*

Francesco Nitti w „La Pressa“ (Argentyna), przedrukowane w pismach niemieckich 1922.

„Sytuacja w Polsce doszła do tak złego stanu, że gdyby się przeprowadziło teraz nowe głosowanie, to nawet terytorja, które nie są zupełnie niemieckie, odczepiłyby się z gustem od Polski, w której bieda i nieporządek możliwe są tylko do

porównania z Rosją bolszewicką. *Awanturnicy jak Korfanty* mogą rozwijać terror i gwałt pod ochroną wojska, lecz nie mogą eksploatować kopalni i puścić w ruch jednej maszyny na Górnym Śląsku. Lecz Polska niezadowolona, że otrzymała wszystko, co nie było nawet w programie Wilsona, terytorja, które jej się nie należą i prawa, do których nie powinna mieć pretensji, jak np. do miasta Gdańska, marzy o nowych terytorjach na Ukrainie i o państwie, które rozciągnęłoby się od Bałtyku do Czarnego morza. Jest to prawdziwe szaleństwo nacjonalizmu. Codziennie marzy o nowych zdobyczach i powiększa swą armję. Jeśliby ta armja była przeznaczona przeciw Rosji bolszewickiej, byłaby do wytłumaczenia, ponieważ nikt nie wierzy w dobre intencje rządu rosyjskiego, w każdym razie byłaby kwestją obrony osobistej. Lecz ta ogromna armja jest skierowaną przedewszystkiem przeciw Niemcom dla prowokacji, do podtrzymania i powiększenia rewolucji. Niemcy spełniły warunki traktatu o rozbrojeniu. Ich armja zredukowana jest do 100.000 ludzi, a z ich ogromnej floty nic nie pozostało. Lecz Polska ma armję 5 albo 6 razy większą i nieprzyjaciele Niemiec mają obecnie więcej wojska jak przed wojną“.

*

„Manchester Guardian“ z 11 Maja 1921 r.

„Korfanty i jego partyzanci, próbują czynić na Śląsku na swój sposób to, co Niemcy uczynili w Belgji“...

*

komunista Henri Fabre w „Journal du Peuple“ Czerwiec 1921.

„Jakiż to dla nas interes oddać Górny Śląsk Polsce? *Dwie trzecie ludności polskiej walczyło przeciw nam w armiach niemieckich i austrjackich*, wobec jednej trzeciej sojuszniczki armji rosyjskiej. Gdy połączyły się te trzy części Polski, ci zacni Polacy nie przestawali błagać nas o pomoc w ludziach, w produktach i pieniądzach. Nie rozumiem naszego wdawania się w to i naszej szlachetności”.

*

„Times”, z 9 V 1921 r.

„Natomiast wódz powstańców Korfanty na tym brzegu Odry jest wszechwładnym panem. Ani okruszyna węgla nie wyjdzie z kopalni, o ile on nie odwoła strajku i nie zarządzi naprawy toru kolejowego. Gdyby sprzymierzeni nawet zarządzili blokadę polskich obszarów na Śląsku, Korfanty i to przetrzyma; dostanie poddostatkiem żywności i wytrwa też dłużej aniżeli Niemcy i aljanci bez węgla.”

Korespondent zwrócił uwagę Korfantego na to, że zamknięcie granicy jest farsą. „Być może—odpowiedział—ale rząd polski odmawia mi wszystkiego, zarówno pieniędzy jak broni. Mogę się zwrócić tylko do narodu, a ten stoi za mną. Rząd nie utrzymałby się 24 godzin, gdyby usiłował przeszkodzić narodowi w niesieniu mi pomocy.

Dalej Korfanty miał wyrazić niezadowolenie z powodu obrania Opola na siedzibę komisji międzysojuszniczej. „Jest to miasto rolnicze, daleko od przemysłowego obszaru położone i nie rozumiejące uczuć ludności, w tych obszarach żyjącej. Mógłbym z łatwością wystawić 250-tysięczną armję, gdybym miał poddostatkiem broni. Błyskawiczność, z jaką ruch się rozszerzył wskazuje na jego żywiołowy charakter".

Korespondent wyraża przekonanie, że wiadomość, jaka wywołała powstanie i sam ruch były *świadomie inscenizowane przez Korfantego*, i „że powodzenie swoje Polacy zawdzięczają nie tyle wybuchowi, *ile starannej i z góry przygotowanej organizacji*".

*

J. H. Harley w „The Contemporary Review", Grudzień, 1921 r.

„Przedstawiało się go nieraz w Europie jako zawalidrogę lub bandytę. P. Korfanty okazał się *zgoła odmienny od tego wizerunku. Był bez psa, bez rewolweru, bez cienia nierozwagi lub zaczepności*. W miły, łagodny sposób mówił z niezwykłą przyjaźnią o Wielkiej Brytanji. Ale było rzeczą jasną, że i on i wszyscy naokoło troskają się bardzo tem, że Niemcy są sąsiadem tuż za drzwiami, oraz to, jak się zabezpieczyć przed nowym najazdem".

*

„Observer", 8 maja 1921 r.

„Na Górnym Śląsku powstanie. Jeśli gwałty Polaków nie spotkają się z oporem, trwałe podstawy gospodarczych planów Rady Najwyższej mogą być zachwiane, 30, a jak niektórzy twierdzą, *100 tysięcy Polaków, pod wodzą Korfantego*, nie troszcząc się o wyniki plebiscytu, opanowało garnizony wojsk sprzymierzonych, zadało ciężkie straty oddziałom włoskim i objęło władzę nad większą częścią spornej prowincji z głównemi kopalniami i przemysłowemi obszarami.

W posępnym rekordzie szowinizmu odrodzonej Polski, potworny ten czyn jest chyba najgorszy ze wszystkich.

Rząd polski urzędowo wyparł się Korfantego, *ale udział jego w tej sprawie nie ulega wątpliwości*, jak nie ulegał wątpliwości w awanturze Wileńskiej, która rozegrała się kosztem Litwinów. Nie spodziewa się on prawdziwego oporu ze strony Francji, a stwierdza niemoc Anglji i Włoch, przeciw którym demonstrują na ulicach.

*

„Daily Telegraph", 15 V 1921 r.

„P. Lloyd George wzywa swych rodaków, aby osądzili sytuację, jaką stworzyła *napaść Korfantego*, zorganizowana przy współudziale Rządu warszawskiego. Trzeba usłuchać tego wezwania do opinji".

„Jeśli Polacy niemieccy, a *głównie austrjaccy walczyli po stronie ich opresorów*, to jednak korpus rosyjsko-polski odznaczył się swym patrjotyzmem i pomógł Aljantom odbudować nową Polskę".

„L'Humanite", 24 czerwca, 1921 r.

„Dla proletariusza polskiego na Górnym Śląsku Niemiec jest nieprzyjacielem społecznym, a nie narodowym; *dlatego górnicy i robotnicy górnośląscy wpadli w pułapkę Korfantego* i myśląc, że będą zwalczać burżuazję niemiecką, postanowili podtrzymać akcję nacjonalistyczną Korfantego".

*

„L'Ere Nouvelle", 4 czerwca 1921 r. „Francja pod rozkazami Korfantego".

„Jest w tem powstaniu pewien stopień dziecinady, którą można zlikwidować małym kosztem! I Włosi i Polacy na to by poszli, gdyby nie generał Le Rond który ma podobno intrygować z Korfantym, tak jak generał Hoeffer z Orgeschem, a ponieważ „korfaniści" mają więcej amunicji niż pieniędzy, więc trzeba było im dać możność zarobkowania i sprowadzić ich do swych warsztatów pracy, *dlatego za namową Korfantego* Le Rond przepędził Niemców ze wszystkich linji kolejowych, oddając je Polakom.

*

„The Observer" z dn. 15 V 1921 r.

„Możemy jasno dać do zrozumienia Korfantym, Żeligowskim i Piłsudskim, że dopóki tak będą postępować jak obecnie, to wpływy angielskie będą działać na rzecz Rosji, Litwy i Niemiec. Jeśli potrafimy interpretować fakty w sposób logiczny i czerpać naukę z doświadczenia, to Śląsk Górny powinniśmy w całości i raz na zawsze oddać Niemcom, a Polska powinna uważać się za szczęśliwą jeśli zachowa swą niepodległość".

*

„Daily Telegraph" z dn. 3 sierpnia, 1921 r.

„Ten niewielki, bo zaledwie 550 klm. kwadrat. zajmujący trójkąt przemysłowy, Tarnowice—Gliwice—Katowice wzbudził tak wielką pożądliwość u Polaków wskutek niebywałego zaniedbania ich własnego przemysłu górniczego. Polakom się wydaje, że mogą wogóle tak za darmochę coś otrzymać na piękne oczy. Jest niepobieństwem obliczyć z całą dokładnością wysokość kapitałów, tkwiących w tym okręgu niewielkim, gdzie każdy grosz jest niemiecki. Czynniki kompetentne przyjmują, iż suma ogólna dosięga miljarda stu miljonów w złocie marek niem., czyli 55 miljonów funtów angielskich. Według dzisiejszego kursu wymiany wynosiłoby to w polskich markach 375 miljardów, czyli że wypadałoby około 15 tysięcy marek polskich na głowę każdego mieszkańca Polski, włączając w to kobiety i dzieci. Stąd właśnie bierze źródło swoje nieposkromiona chciwość położenia ręki na tych skarbach".

(D. N.)

„Z OBORY TAJNYCH CELÓW"

Z wielką przykrością i rozczarowaniem konstatuje się tu niniejszem, że anonymowym autorem stałej rubryki w „Przeglądzie Wieczornym" warszawskim p. t. „Z obozu tajnych celów" jest p. Witold Noskowski. Dłuższy czas nie chciało się wprost wierzyć, że rubrykę tak nudną a tak przytem ohydną, rubrykę tak szpiegowską, denuncyatorską, potwarczą, kłamliwą i perfidną, rubrykę tak płaską, plugawą i ordynarną zapełnia tosamo pióro, które niegdyś w „Zielonym Baloniku" pisało tak lekkie, kulturalne, swobodne, pełne gracji i wdzięku satyrki i kuplety, tosamo pioro, które pisywało ongiś wytrawne i wytworne recenzje teatralne, później zaś kierowało „Głosem Narodu", „Dziennikiem Powszechnym", „Dziennikiem Poznańskim". Niestety dziś musimy to stwierdzić jako rzecz pewną. P. Noskowski wszedłszy do obory tajnych celów zasymilował się w tak szybkim tempie, że stara się nawet przeehrenbergować samego Ehrenberga i stać się jakby drugim Fryzejskim bykiem w oborze tajnych celów. Przykro niegdyś się zaczęła i przykro obecnie się kończy karjera tego tak uzdolnionego i oświeconego publicysty. Nie będziemy tu narazie wypominali mu dawnych bardzo ciężkich grzechów z przed lat 15, z powodu których nawet musiał szybko rozstać się z Warszawą i wylądować aż w matuszce Moskwie. To nie był debiut Farysa, to też ta „rysa" została już w nim głęboko ukryta, a dzisiaj wyłazi znowu na wierzch, w formie paskudnej i niegodziwej kampanji przeciw obozowi narodowemu prowadzonej. Kiedy p. Noskowski lat temu dwadzieścia kilka po nieudałych debiutach jako „ruski" tenor przybył do Krakowa, było dużo kłopotu z nim, aby zatuszować jego warszawski „realizm" polityczny. Okazuje się niestety, że ten „realizm" w nim zadrzemany tkwił gdzieś głęboko i dziś po rozmaitych metaformozach Owidjuszowych i Odysseuszowych tułaczkach znów się odezwał w formie policejskiego, dedektywnego i żandarmskiego wyszpiegowywania wszelkich gaff, potknięć, lapsusów, przewinień „obozu zbrodni" i denuncjowania ich szpetnego przed ulicznym Demosem.

P. Noskowski został specjalistą do „specialnych poruczeń" wyławiania z prasy prowincjonalnej, świeżej, młodzieńczej, nierutynowanej pewnych szarż, przesad i niezgrabności stylistycznych i rozdymania ich do rozmiarów rzekomo kompromitujących partyjną prasę stołeczną.

Nudny ten i kancelaryjny proceder prowadzi omal z taką pedanterją, z jaką dawne ochranniki rosyjskie spisywały protokóły przy śledztwach, ze szczególnym sadyzmem pastwiąc się sekując i szykanując prasę wielkopolską i pomorską.

Nocami ślęczy p. Noskowski nad: „Nowinami Kościańskimi", „Pielgrzymem ze Swarzędza", „Dzwonkiem Gnieźnieńskim", „Gazetą Chojnicką" i t. p. i z tryumfem i dumą pomocnika wicekomisarza 15 cyrkułu wyławia ślady... kramoły endeckiej.

...„W Gędzianowie odbyło się nabożeństwo żałobne za El. Niewiadomskiego przyczem śpiewała miejscowa „Lutnia“...
... I już idzie donos rewizora Fryzjerskiego do obory tajnych celów, choć nieboszczykowi Niewidomskiemu było Eljasz i był miejscowym organistą...

I w ten sposób talent, który mógłby się rozwinąć i rozkwitnąć np. w Defenzywie, marnuje się w ciągłych ofenzywach na obóz narodowy; ten zaś jak ongiś zniósł za Mikołaja tyle szpiclostw i donosów, tak i teraz zniesie ataki i kampanje całej tajno-celnej obory tych baranów, które cierpiąc na przewlekłą kołowaciznę na punkcie „kramoły“ endeckiej piszą i piszą, kiwają wszystkimi palcami w butach i drapią Giewont i drapią aż im krew z pod paznokci cieknie.

Szkoda, szkoda wielka p. Noskowskiego! Nasiąknął w Krakowie i przesiąknął dobrą kulturą starokrakowską (którą zresztą za długo i za monotonnie przeżuwa) ale zaraził się też cokolwiek malarją „pestis perniciosissima“ Czasu. Pięknie się prowadził tempore belli, poczem schudł, niezeszpetniał ale jakoś i nie zeszlachetniał. Potknął się podczas kijowskiej awantury uparłszy się za Piłsudskim; a że Endecja i wówczas miała rację, więc jej zemstę poprzysiągł, zawsze pewny, że jego do niej idjosynkrazja jest tylko idjotosynkrazją.

Bardzo przykro i żal, że p. Łada Noskowski zamiast prowadzić własne pismo kojące, kulturalne, międzypartyjne, łagodzące... musiał iść do obozu tajnych celów i został już tylko jednym z przednich okazów fryzyjskiej mieszanej rasy, tuczonych na zarżnięcie i trenowanych do desperackiego bodzenia rogami Endecji, t. j. muru, chińskiego czy chjeńskiego, ale muru!..

(a. n.)

SODALIS HAECKER.

Redaktor krakowskiego „Naprzodu“ dr. Ephraim (Emil) Haecker w drugim dniu Świąt Wielkanocnych przeszedł sobie wraz z małżonką na łono kościoła katolickiego.

Kto byli rodzice chrzestni niewiadomo. Rozpowiadają, że Zdzisław hr. Tarnowski i Dorotea Kłuszyńska; inni, że Beduin de Courtenay i Iuhanne hrabina Wielopolska-Walewska; inni że Golińska-Tylicka i Daszyńska-Budzińska; inni że Garfeinowa-Zabojecka i prof. St. Estreicher...

Aczkolwiek w niebiesiech jest pono więcej radości z jednego nawróconego, jak z 99 wiernych, to jednakże tu na ziemi nam ta nowa owieczka nie imponuje. Jest to tylko szwindel i podstęp. Dr. Haecker pozostaje dla nas żydem integralnym, maxymalnym, skondenzowanym, kwintesencjonalnym, żydem w 6-tej potędze, pokropionym czy nie. Wprost przeciwnie nawet. Teraz jest niebezpieczniejszy i teraz dopiero jest złowrogi. W żadne nawrócenie takiego germańskiego żyda nie uwierzymy ani na moment, ani na hajnt. Tego samego dnia.

kiedy parszywiastą owcę wpuszczano niebacznie, pisał jego współwyznawiec szczery, lojalny, nie podstępny i nie przewrotny kolega dr. Ignacy Schwarcbart w „Nowym Dzienniku" („Niewolnicy ducha") o potędze rasy żydowskiej i nawrotach do poczucia rasowego:

„Wystarczy czasem iskra jedna, a metamorfoza wewnętrzna zaczyna się dokonywać, zrazu podświadomie, a później coraz śmielej, odważnej, jawniej. Nie zawsze zwycięsko, czasem bowiem walka wewnętrzna, zależnie od ustroju jednostki kończy się kapitulacyą, cofnięciem się, nie rzadko zdradą, która wtedy jest jakby środkiem zagłuszania sumienia, radykalnem zerwaniem mostów po to, aby raz na zawsze odciąć sobie drogę do „sentymentalnych" nawrotów. Ale sumienie gryzie i nie daje spokoju — nawet zdrajcy, nawet odszczepieńcowi trzeba zapomnienia, ugruntowanego drogą wielu pokoleń, aby upiorny głos jego zamarł na wieki. *Ucieczka przed głosem żydowskim w sobie jest trudna, bardzo trudna*, *bo w nim drga atawizm lat tysięcy*, niezależny od woli naszej, od naszego postanowienia.

Dlatego też na ogół żaden asymilant (rozumiemy pod pojęciem asymilacyi zawsze tylko asymilacyę narodową), żaden pół-asymilant *nie jest pozycyą straconą*, byleby odpowiednia chwila, odpowiednia refleksya, a czasem cios lub policzek z zewnątrz przychodzący w popielisku uczuć żydowskich wynalazł punktum minoris resistentiae i weń uderzył.

Budzi się w nim wtedy — żyd wyzwolony, wyzwolony indywidualnie, wyzwolony społeczno-etycznie, i naród zyskuje nową jednostkę. Kto zaś wie, czy w niej nie kryje się Herzl?"

Kto wie czy w Haeckerze nie kryje się nowy Herzl?

Można jeszcze wierzyć i ufać tym, co się chrzczą w dzieciństwie ale i to dzisiaj jest paradoksalne.

„Ob Cyrist, ob hud ist einerlei! In der Rasse liegt die Schweinerei", jak mówią Teutonowie, do których p. Haecker zawsze będzie ciążył całą duszą choćby na maskę polską nałożył drugą maskę katolika, a w r. 1925 przez protekcję księdza Urbana S. I. został nawet Sodalisem Marjańskim. (*a. n.*).

O POWOJENNYCH MECHESACH.

(Co sami żydzi sądzą o dzisiejszych powojennych wychrztach, rozmaitych Wasserzugach, Haeckerach, Lichtensteinach i tp., o tem można się przekonać z artykuł dr. N. Syrkina w „Lemberger Tagblaccie" Nr. 24).

„Przyjmowanie chrztu przez żydów też już wyszło z mody. Wprawdzie w ostatnich 20 latach przyjęło owszem chrzest 75 proc. *żydowskich socjalistów asymilacyjnych*. Ale to się stało dla *korzyści konkretnej, zupełnie namacalnej*. Było to dla ideału prawa osiedlenia w państwie rosyjskiem. W walce z tym prawem żyd socjalistyczny nie mógł się ostać. Nie można było przecież wymagać, żeby naprzykład Nachamkes mieszkał w Bobrujsku śród żydów, mając szlachetny pociąg do Petersburga. Nachamkes więc uznał Jezusa Chrystusa i Matkę świętą, poczem uzyskał bilet na prawo osiedlenia. Ale przyjmowanie chrztu *bez korzyści bezpośredniej*, byle tylko pozbyć się żydostwa, to wyszło z mody..."

„Trudno jest być neofitą. Ale to nietylko trudno, lecz stało się także niedorzecznością. W świecie obłudy i szwindlu trzeba tylko mieć pełne usta arogancji, kręcić językiem na temat jakiegoś „dealizmu, mądrze pojmować co jest lepsze, — *uda się uniknąć bardzo niekorzystnego interesu, któremu na imię żydostwo,* jednocześnie nie dźwigając brzydkiego ciężaru niefizyzmu".

Hörste Haeckerleben?

HOFRATH ROSHER — DZIECIOM POLSKIM.

W ostatnim numerze pisemka wydawanego dla bachorków z mieszanych małżeństw na froncie dano dla „niepoznaki", wierszyk spokorniałego Farysa Gwiżda, dalej „bajeczkę o Królewiczu Wiórku" Stanisława Krzesanicy (oj jej jakie to polskie i słowiańskie: Krzesanica!) i tp. Prawdziwą atoli perłą numeru są pisanki F. Arnstajnowej. Dlaczego nie maces? Poetka „Kurjera Polskiego" jest okropnie lechicka i sarmacka. Chaskiel Arnstejn w Pabjanicach to on podrabia świetnie stare kantorki polskie i sprzedaje jako „antyki z dworków", to dlaczego F Arnstejn niema podrabiać... pisanki? Okropnie polska jak Fanny Arnstejn:

Dał kum kumie
jajeczek drewnianych,
toczonych, gładzonych,
naręcze.
Bogato.

Naręcze jajeczek?..

Jak kuma Arnstajn wzięła „naręcze jajeczek", to ona już potem paskudzi język „dzieciom polskim", jak tylko może. Są więc w wierszykach: „kraszanki", modraki, pasziaste wełniaki, parzenice, juchasy „nito krakowska chusta", „linje w kolorach szczodre", „krasne lampasy" „huculskie rybki"... i tp. szwindle.

Dlaczego kuma Arnstajnowa tak się męczy, poci i wysila?

Dlaczego stara się być odrazu taka okropnie piastoska?

Dlaczego używa słowa naręcze, kiedy nie odczuwa, co to znaczy?

Może być naręcze maces, ale nie może być naręcza jajeczek, boby się porozbijały, poplamiły „pasziasty wełniak" i „krakowską chustę" kumy Arnstejn!

Magdaleno Samozwaniec! Genialna Magdaleno! Dałaś literaturze polskiej arcydzieło parodyi à la Hellen Mniszek. Weź się teraz do tych okropnie polskich, lechickich, sarmackich, Dick- i Arn-stejnianek i daj nam, daj nam powieść: „W modrzewiowym dworzyszczu" pisaną przez np... Sławę Kamgarniankę! Oto tytuły rozdziałów tej powieści:

I. Staropolskie święcone u państwa Ignacostwa. II. Grzybobranie na łąkach skolimowskich. III. Na plebanji. IV. Dorzynki z korowajem. V. Kuligiem do sąsiadów. VI. W czeladnej izbicy. VII. Przygody leśniczego Kleofasa. VIII. Prządki. IX. Stadnina merynosów. X. Oczepiny w noc sobótkową i tp...

„W modrzewiowym dworzyszczu" nowa powieść Sławy Kamgarn dla „Kurjera Polskiego"!!! r. 1924!

Prosimy!. *(a. n.)*

Pren. kwart. 7.200. Zagranicą kwart. 10.000.
Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem 300 000, ½ str. 150.000, ¼ str. 80.000, ⅕ str. 50 000, 1/16 str. 25.000 mk. Konto czek. w P.K.O. Nr.3105

Redaktor i wydawca: STANISŁAW WŁODEK.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński S-ka Warszawa, Zgoda 5.